



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

Pierwsze lata XIX wieku.—Niemcy i Francuzi.—Ziemianki polskie.—Dwory wiejskie.—Zaścianki szlacheckie.—Dramat w życiu niewiasty polskiej.—Dziewice-wdowy.—Zaręczyny przy rozłące.—Wierność dla narzeczonej.—Opowieść pana Jacentego Świdierskiego.—Wyjazd domu.—Modlitwa i pieśń pobożna chronią od pewnej śmierci.—Powrót do rodzinnego gniazda.—Wielkie wdowieństwo.

Rok 1800 rozpoczyna nasze stulecie: rachunek to chronologiczny, bo w życiu domowym, w ustroju naszej społeczności żadnych zmian nie stanowi. Obraz pozostaje ten sam, jaki się przedstawiał w ostatnich latach dogasającego wieku.

Zwracamy głównie myśl naszą i uwagę na niewiastę polską w okresie lat trzydziestu, to jest od roku 1800 do 1830. Okres to wielce zajmujący i na kartach kroniki domowej wybitnie się maluje. Jak w zeszłych wiekach, tak i obecnie prawdziwy typ niewiasty polskiej, w całym jej majestacie jako matki i obywatelki wyłącznie mamy w ziemiankach, po dworach wiejskich: tam jej gniazdo pierwotne, tam stolica i tron dostojny, na którym królowała jako kapłanka rodzinnego ogniska. Aby dobrze pojąć stanowisko niewiasty polskiej i zmian, jakim uległa w początkach naszego stulecia, przedewszystkiem musimy rzucić okiem pilnie na stan kraju, który służy zawsze za tło społeczności, jej życia potrzeb i rozwoju.

Widziemy, że jak w ciągu ubiegłych wieków, tak

i teraz przeważnym jest żywioł rolniczy, ziemiański, ograniczony we dworach wiejskich. Dla każdej rodziny dwór ten był gniazdem rodzinnym, miejscem jednym chrzcin, godów weselnych i styp pogrzebowych. W nim rodziły się młode pokolenia, starsze umierały, a każde do ścian jego przywiązywało swoje wspomnienia i dawniejsze tradycje. Z pogardą spoglądano na szlachcica, który opuszczał rolę, a osiadał na bruku w mieście, lubo i tego rzadkie były przykłady, chyba jaki marnotrawca, pijak, lub pieniacz, straciwszy fortunę ojcowską, przenosił się w mury miejskie. Wszystko zaś co stanowiło właściwy naród, biorący w jego życiu jedyny a przeważny udział, osiedlone na wsi, przywiązane do roli było *ziemiaństwem*, a to ziemiaństwo szeroko się rozsiało nie tylko po większych i zamożniejszych dworach, ale w wielu tysiącach dworków *zagonowej* szlachty, które stanowiły ogromne wioski lub pomniejsze *zaścianki*.

W sześciu pierwszych leciech naszego wieku (1800—1806 roku) rozpoczyna się bolesny dramat w życiu niewiasty polskiej, i pojawia się liczny poczet nieznanych dotąd *Dziewic-wdów*. Nazwa ta służyła dla tych, których narzeczeni albo zginęli, lub długie lata zdala od rodzinnego gniazda spędzali.

Obrzęd zaręczyn zwykle nie w domu, ale w kościele odbywał się w obecności kapłana. Opiszę tu jeden, wedle opowiadania sędziwego wojaka, który sam brał w nim udział.

Mój bratku (mówił do mnie pan Jacenty Świdierski, siedząc pod rozłożystą lipą przed dworkiem swoim na Mazowszu, po nad brzegiem błękitnawej Narwi i ćmiąc fajeczkę ulubioną na krótkim cybuchu) i myśmy się dzielnie kochali za naszych lat młodych, a może serdeczniej jak wy, ale niewątpliwie że wierniej. Jak się dało słowo swej bogdane, do śmierci już żadna niepostała ani w sercu ani w myśli. Czasem, boć i to bywało, człowiek nie anioł, jest z krwi i ciała—czasem, chwilowo, ale to tylko chwilowo, dał się oczarować jakiej pięknej Italiance, czasem Hiszpanka palącemi oczyma wgrzyzała się do głowy, ale szła ten przemijał zaraz, gdy się

przypomniała narzeczone, co tam w kraju tęschni, usycha i oczęta swoje zalewa łzami. Patrz mój bratku! to już dziś trzydziesty rok ubiega, a było 15 maja, dzień śliczny, pogodny jak teraz, i kukulka kała jak ją teraz słyszysz, i taki sam zapach cudowny w powietrzu, co i dziś starą moją i zmęczoną pierś orzeźwia! Ach! wszystko tak było, tylko ja sam kochany mój bratku inny byłem!

Mówiąc te słowa, fajeczkę z ust wyjął, smutnie głowę opuścił na piersi, i parę łez po czerstwym choć pomarszczonem już obliczu, na posiwiśle wąsy spadło. Ale wkrótce podniósł głowę, pokręcił wężsa, potarł swoim zwyczajem gęstą czuprynę, a stłumiwszy wzruszenie:

— Serce mój bratku (mówił coraz się więcej ożywając) zostało też samo—zawsze młode, gorąco czujące, jednakowo bije. Wybierałem się do Legionów, pan ojciec stary rotmistrz z pod znaku pana Kazimierza Pułaskiego, zapamiętał jeszcze dobrze Częstochowę, bo w niej bił się na murach: nie tylko pozwolił, ale dobył zaplesniałych talarów na drogę. Matka moja! o moja matka!

Zawołał bolesnym głosem i zalał się jak bóbr rzewnemi łzami. Łkał długo—długa chwila upłynęła zanim się mógł uspokoić.

— Matka moja to była święta niewiasta: jej było także na imie Zofia jak i mojej narzeczonej, i dzień ten obojga imieniom przeznaczony został na nasze zaręczyny. O! widzisz bratku ten kościółek muraowany, otoczony wieńcem lip i starych dębów—to w nim.

Przerwał mowę, spojrział na rękę a całując ślubną obrączkę.

— Patrz! to ten sam pierścionek!

Stałem niemało wzruszony, oczy moje ze ślubnej obrączki zwróciłem na wzgórek po za ogrodem dworskim, na którym po nad wierzchołki drzew rozłożystych wybiegała wieża parafialnego kościoła. W tę właśnie chwilę uderzył dzwon na *Ave-Maria*. Obaż w cichości odmówiliśmy modlitwę.

— I wtedy (mówił dalej) staliśmy pod tą samą lipą z moją Zosią, szepcząc sobie słowa ostatniego pożegnania, i wtedy, ten sam dzwonek uderzył na

Ave-Maria, a my gorące nasze uczucia pobożną zamknęli modlitwą. Wszystko już było gotowe do dalekiej wędrówki: o północy, gdy każdy snem twarzym zaśnie, miałem sam na swoim siwoszu, z małym *mantelzakiem* niepostrzeżenie wyruszyć ku granicy. Przy zmroku wieczornym udaliśmy się pieszo do tego kościołka. Rodzice moi byli opiekunami młodej mojej Zosi, bo to sieroctwo w dziecięcych latach straciło i ojca i matkę, więc sami towarzyszyli tym zaręczynom. Przed wielkim ołtarzem zapalono cztery świece i sędziwy ksiądz proboszcz a przyjaciel naszego domu, czekał na nas na jego stopniach. Wtedy przy zamienieniu obrączek złotych, zaprzysięgliśmy sobie wierność do śmierci. Za powrotem czekała nas skromna wieczerza, na której pierwsze miejsce zajmował nasz ukochany pleban. On tylko jeden wiedział o moich zamiarach i wyjeździe o północy. Rozrzewnieni wstaliśmy od stołu wcześniej, trzeba było spocząć, bo kawał miałem drogi do granicy. Zmęczony całodzienną krzątaniem i wzruszeniami duszy, twarzo zaśnąłem. Dwunastą z północy wykukała kukułka na zegarze ściennym, gdym aotworzył oczy. Nad łóżem mojem, stała ukochana moja matka, bo biedactwo nie zmrzyło oka. Kiedy ukląkł, ona mię objęła, przytuliła do serca, całując w głowę, gorącemi łzami skropiła.

— Ojciec zmęczony spi, rzekła drżącym głosem—nie budź go Jacusiu: koń gotowy, a to na drogę. I włożyła mi szkaplerz z relikwiami na piersi. Wyrwałem się z jej objęć załzawiony, wychodzę na ganek, tam ujrzałem moją Zosię. Pierwszy raz złożyłem pocałunek na jej białem i gładkim czole. Dosiadłem siwosza, a nie oglądając się po za siebie, wyciągnęły kłusem ruszyłem gościncem. Droga wiodła koło kościoła i plebanii, na ławie dębowej w małym ganeczku już latami pochylonym, ujrzałem naszego proboszcza; starowina czuwał do północy aby mi dać ostatnie swoje błogosławieństwo! I było to zaprawdę ostatnie, bo za powrotem z wojaczki, już spoczywał na cmentarzu przykościelnym. Jak tam było na obcej ziemi, co tam gadać, było się tam jak to mówią, *na koniu i pod koniem*, ale od niewoli i śmierci broniły mnie modlitwy mojej matki i mojej Zosi, a błogosławieństwo ojca i proboszcza. Cóż powiesz kochany bratku, przez lat dziewięć nie było mnie w kraju, konkurentów do Zosi jak ptactwa na lep zbiegało się dosyć, bo panna i ładna i nieuboga, ale wierna słowu, każdemu *dała od kosza*; i miłującą córką dla mojej matuchny została: obiedwie też każdą moją niedolę przeczuwały! Wiesz przecie jaka to krwawa walka była z tymi Hiszpanami—w polu bili się zażarcie, na *kwaterze*, gdy mogli to mordowali skrycie! Mnie tylko cud widoczny ocalił. Idąc pod Saragossę, patrol naszego pułku złożony z dwunastu piechurów, którymi dowodziłem, wszedł do jednej na uboczu wioski. Mieszkańcy przyjęli nas z pokorą, dali wina i jedzenia do syta. Kiedyśmy się rozeszli i zabierali do spoczynku, ja swoim zwyczajem, dobyłem szkaplerz z relikwiami i położywszy na kaskiecie, odmówiłem pobożną modlitwę, a potem zacząłem śpiewać pieśń: *Kto się w opiekę odda Panu swemu*. Słyszałem jakieś w około bieganie, jakiś krzyk przytłumiony, ale potem, by makiem zasiał, tak cicho—i odśpiewałem całą pieśń naszą. W tem słyszę drzwi się rozwierają z traskiem, na progu ukazał się ksiądz zbrojny szablą i z krzyżem w ręku, a za nim chmara zjadłych Hiszpanów, którym z oczu tryskał ogień wściekłości. Jam się zerwał do broni, ale mój karabin i pałasz już były w ich ręku. Ksiądz zbliżył się, ujął szkaplerz w ręce, obejrzał troskliwie, przeżegnał i pocałował, a zanim cały tłum całował z poszanowaniem. Wtedy ksiądz rzekł do mnie.

— Tyś katolik! jesteś wolny, idź z Bogiem! Ten was (mówi) wskazując na sędziwego wieśniaka) bezpiecznie do waszych przeprowadzi. O swoich towarzyszyłów nie pytaj, już śpią twardo! Idź z Bogiem! Spali bo spali twardo, bo żaden się nie obudził, wszystkich wymordowali! po czem oddali mi broń, opatrzyli na drogę i tak ocalałem. Tej nocy matka moja i Zosia straszne sny miały, i całą noc na modlitwie spędziły, a gdym ciężko ranny został, przeczuwały, że mnie jakieś nieszczęście spotkało.

Zacząła się wielka armia zbierać na wyprawę do Moskwy z której jak wiesz bratku, tylko szczątki wróciły a sam cesarz Napoleon ledwie uniósł życie. Pułk nasz wrócił do kraju. Niewyleczony jeszcze dobrze z ciężkiego postrzału, wziąłem dymisyję

i wróciłem do rodzinnego gniazda. Już mój dobry ojciec spoczywał w grobie wraz z poczciwym plebanem, ale żyły ukochana matka i Zosięńka. Nic nie wiedziały, że wróciłem i że do nich przybywam, ale dnia tego niezwykle obiedwie były wesołe i uszczęśliwione. Przy śniadaniu matka filiżankę z kawą przewróciła, Zosi łyżeczki wypadły z ręki.

— Ktoś się śpieszy do nas, mówiła matka, to pewnie Jacuś kochany. Dzisiaj i sroki ciągle skrzeczą na płotach jakby zapowiadały miłego nam gościa.

Zosia na te słowa to się uśmiechała to wzdychała i niejedną łezkę otarła ukradkiem, żeby matka nie zobaczyła. A ja już tylko o trzy mile od nich byłem: ale droga zła, piaszczysta, błotna, niedozwoliła przybyć prędzej jak w pod wieczerz. Kiedyś już ujrzałem wieżę naszego kościoła, a za nim i dwóch ojców, dalej w konie, one też choć zmęczone ruszyły co żywiej. Wjeżdżałem do bramy, gdy dzwoniło w parafii na *Ave-Maria*. Wsiadłem z bryczki odkryłem głowę i tak szedłem odmawiając cicho modlitwę ku gankowi. Spojrzę, a tam stoi w czerni niewieścia postać, wysmukła i piękna. Czy to moja Zosia? Myślę sobie. Nie bo była niższa i nie tak piękna, a miała piętnasty rok, gdym ją pożegnał. Kiedy tak podchodzę podpierając się na kuli bo mi noga jeszcze dolegała srodze, słyszę z ust tej postaci krzyk radośny:

— Jacuś! Jacuś! Pan Jacenty! matko, matuchno! I po tych słowach upadła na kolana, bo już na nogach utrzymać się nie mogła i wyciągnęła do mnie białe swe ręczyny. Za nim zdążyłem dojsć do ganku, już matka moja trzymała mię w swych objęciach i okrywała gorącym pocałunkiem ze łzami radości.

Otóż i wszystko mój bratku, mówił po dłuższym milezeniu pan Jacenty. Było mi jak w Raju: wpół roku wygoiwszy się z rany z moją Zosią co wyrosła dobrze i wypiękniała, stanęliśmy na ślubnym kobiercu. Połączył nas już nowy proboszcz, a matka moja miała tę radość że pierworodnego syna kołysała i jak mnie niegdys do snu tuliła, wyuczyła wnuka pacierz: we cztery lata później spoczęła obok swego małżonka, a była to święta niewiasta!

W tę chwilę na ganku ukazała się pani Zofia, dorodna i świeża zawsze choć liczyła lat czterdzieści, wzywając nas do gotowej wieczerzy. Pan Jacenty, patrząc na nią z pełnym miłości uczuciem, wstając z pod lipy, rzekł do mnie z cicha:

— Patrz bratku mój, zawsze piękna kobieta, dobra i pobożna. To mój anioł stróż i pocieszyciel.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GLAUK.

Glauk, modrooki bożek morskiej fali,
W Seylli czarownej się kocha—
Po raz to pierwszy serce mu rozpali,
Miłość, okrutna macocha!

Przewrotna nimfa, z skał nadbrzeżnych wierzcha,
Nęci go w sposób uroczy,
On biegnie ku niej—ona z śmiechem pierzcha
Pianą pryskając mu w oczy,

I ani końca, ani miary kiedy,
Tej złościwości dziewiczej....
O! któż wypowie wszystkie Glauka biedy?
I jego łzy któż policzy?

O! słodki bożku, coś ni dniem ni nocą,
Nie skrzywdził nigdy nikogo,
Po co ci było całym sercem, po co
Pokochoać nimfę tak srogą?

Płonne od siebie odrzuć precz nadzieje!
Toż ta okrutna dziewica,
W znowie z Charybdą, tych z których się śmieje,
W bezdenne wiry pochwyca!

Cóż robić—trudno—w miłość uwierzywszy,
Przepadł w niej biedny jak w matni....
Serce to jego pierwszy popęd żywszy,
I razem także ostatni!

Smutny jest. Idzie—z żalem ręce splata—
Drepczy go tęschność trawiąca,
I radby uciec aż na koniec świata...
Cóż kiedy świat nie ma końca!

Chciałby zapomnieć—chciałby się nieboże
Sklócić z marzeniem swem błogiem,
Chciałby nareszcie umrzeć—lecz nie może,
Gdyż nie na darmo jest bogiem.

Moc przeznaczenia, wolą niezachwianą,
Śmierci przystępu doń wzbrania—
Lecz gdy młodości wiecznej mu nie dano,
Cóż z najdłuższego mu trwania?

I co po świecie, który mu się wszędzie
W pustkowie blade przemienia?
I co po życiu, które tylko będzie
Snem przykrym bez przebudzenia?

Tak pół na jawie snując się, pół we śnie,
Jęczący i bladolicy,
Przebłąkał młodość, zmarniał, zwiądl przed—
[wcześnie...]
Lecz się nie pozbył tęschnicy.

Gdzie mu już teraz, jak to wprzód bywało,
Nad wód się chylić zwierciadły?
Szron mu skroń zwarzył, dreszcz umartwił ciało,
Zmarszczki twarz bladą obsiadły.

Oswiał—zdziechał—brzemie ciężkiej doli
Grzbiet coraz silniej mu gniece,
Nikt go nie kocha—więc i on powoli
Odwykł coś kochać na świecie.

Dlatego nieraz, w tęschnot swych zadumie,
Przez dar prorocstwa zwycięzki,
Przyszłość zgadując, on jedynie umie
Same wyczytać w niej kłęski.

Więc gdy wśród ludzi, niosąc wieść złowrogą,
Stanie przychodzień zdaleka—
To coż dziwnego, że przejęty trwogą
Každy od niego ucieka?

Najczęściej przecież, zdala od gawiedzi,
Po nad morskimi granity,
Z brwią namarszczoną, z wrytym wzrokiem, siedzi
Milczący, smutny, przybity.

Wtedy napróżno wietrzyk, wonne wieści
W skrzydełek niosąc powiewie,
Włos mu zjeżony tkliwą dłonią pieści—
On o tem wszystkim nic nie wie.

Wtedy, czy deszcz go chłoszcze w noc wichrową,
Czy słońca pali zarzewie,
Czy z traskiem burza pęka mu nad głową—
On o tem wszystkim nic nie wie.

Wtedy amorki, zbiegłszy gwarną zgrają,
W pół z figłów pustych, w pół w gniewie,
Skubią go, szczypią, szarpiają, wydrzeźniają—
On nic nie czuje, nic nie wie.

Tylko skroń bladą tuląc w ręce obie,
Wstrząsa w niej myśli nie miłe...
I wartoż wiecznie żyć, by wiecznie w sobie
Nosić swą własną mogiłę?

Felicjan.

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPÓŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg.)

— Cóż za następstwa?...

— Il... machnął baron ręką. Skończy się po turecku. Ma tam zjechać komissya, pod prezydencją Zia-paszy, który w Ruszczuku nudzi śmiertelnie, i jednemu, dwóm łeb utną, resztę zaś na galery poszła.

— Kogo mianowicie?...

— Z pewnością nie wiem; zapewne jednak spotka to Stojana, Aleksandra, doktora i kilku jeszcze.

Anglik się zamyslił. Po chwili zapytał:

— Nie masz mi więcej do powiedzenia nic?...

— Nic, z wyjątkiem, żebyś mi pan dał dukatów trochę. Nim tę drugę połowę dostanę, toć przecie pozostawać nie mogę bez grosza.

— Anglik odliczył dukatów dziesięć i wraz z pierwszą połową biletu bankowego do barona je posunął, a gdy ten jedno i drugie schował, odezwał się:

— No, a teraz... prosba.

— Słucham—rzekł baron.

— Gdziekolwiekbyś się obracał, cokolwiekbyś się z panem działo, utrzymuj mnie zawsze w ciągłej o sobie wiadomości.

— Czy chcesz być pan dla mnie aniołem stróżem, niosącym mi dukaty i bilety *Bank of England*?...

— Nie... o!... bynajmniej. Mam dla pana jeden tylko bilet, na funtów dziesięć.

— Czemuż tak mało?...

— I to za wiele. Za spektakl się drożej nie płaci. Chcę być świadkiem naczynym śmierci pańskiej, która nastąpi przez powieszenie.

Baron drgnął lekko, porażony snadź spokojem flegmatycznym, z jakim Anglik ostatnie wymówił wyrazy; wnet jednak roześmiał się głośno i rzekł:

— Anglik z pana prawdziwy.

XX.

Pawilon angielski.

Jesienią w Bulgarii cudownie bywają piękne. Przyroda stroi się w urok jakiś niewysłowiony, oddziaływający na ludzi spokojem i zadowoleniem. Spokoju i zadowolenia sprawcą głównym jest bogactwo przyrody. Jakkolwiek ucisk wielki, łakomstwo agentów władzy zwierzchniej wydziera pracownikowi dużo, przyroda atoli, matka troskliwa, dostarcza mu tyle, że zapasami na zimę napełnia i spiżarnie, i piwnice. Ma na potrzebę, ma i na zbytek. Kobiety owoce suszą, słodkie smażą, mężczyźni wina tłoczą, wódkę palą. Ze śliwek robią powidła prasowane, arcydoskonałe. Owcarze przyrządzają ser i bryndzę. Na polach, po winnicach, po wygonach rozlegają się okrzyki wesołości i śpiewy na tęszną nutę. Tęśnota nuty śpiewów przypomina niejako stan niewoli, w jakim znajduje się naród; wesele zaś okrzyków stosuje się do przyrody syjącej niewolnikom pod nogi zboże, owoce, grzyby, wędliny i wszystko czego im do zachowania się na przyszłość potrzeba.

Owóż, jesień nadeszła i z całym bogactwem a z urokami wystąpiła, kiedy do Zarnicy zjechała komissya pod prezydencją Zia paszy. Poprzedziły ją głucho jakieś wieści, podobne do grzmotów dalekich, zapowiadających burzę. Zapyte, z agą na czelę, uwijali się po mieście, wybierając domy na zakwaterowanie paszy i orszaku jego. Rzecz naturalna, wybierano domy bułgarskie; to atoli było nienaturalnem, iż omijano Szumlańskiego. Gdzie się pasza kwatruje, tam on gospodarzem zostaje; gospo-

darz rzeczywisty idzie precz. Taki zwyczaj. Na mocy zwyczaju tego, wyrzucono z domów kilku kilka rodzin bułgarskich, albowiem potrzeba było kwatru nie dla paszy tylko samego, lecz i dla miralaja, dla paru bimbaszów i dla urzędników cywilnych, z których każdy prowadził z sobą dwór cały, tem liczniejszy że go miano utrzymywać kosztem gminy zarnickiej. Przygotowano dla nich przytuliska, pozbawiając takowych mieszkańców, i czekano. Czekano dni dziesięć. Doczekano się nakoniec. Przybyli goście nieproszeni a zagadkowi—zagadkowi dla tego, że nikt domysleć się nie mógł sprawdzającej ich przyczyny. Pasza wkroczył do Zarnicy niby tryumfator jaki. Na spotkanie jego wystąpiła załoga miejscowa; mudir zaś i cały personel urzędowy wyjechali na milę przed miasto, pod którym oczekiwał spędzony przez zapytów tłum. Zia-pasza jechał przodem na podjezdźku z kroczą schodzącą a za nim miralaj, a za miralajem bimbaszowie, a za bimbaszami niższe stopnie, a za temi orszak cały, wyglądający zdaleka tak, jak szwadron jazdy w marszu beładnym. Nie dość atoli na tem. Za szwadronem owym mniemanym postępował harem paszy, poprzedzany przez kocz wiedeński, w którym siedział pies legawy; za harem ciągnęto się wozów ze dwadzieścia. Eskortą paszy wojenna składała się z pół plutonu ułanów, nad którymi burczyły w gorze proporce czerwone: wyglądały one zdala niby grządką maku pływającą powietrzem.

Pasza przybył, na kwatery swoją zajechał i odpoczywał.

Odpoczywał tydzień cały.

Zarnicanie zapytywali jeden drugiego: co to znaczy? co to będzie?

W Zarnicy znajdowało się dwóch jeno, coby na to odpowiedź dać mogli, ci atoli milczeli.

Mudir milczał poważnie.

Kir-Michałaki milczał radośnie.

Aż w końcu zagadka przybycia paszy rozwiązała się przez pół. Poranka pewnego Zarnicę napelił lament wielki. Zaaresztowano Bułgarów szesnastu przeważnie gospodarzy znaczniejszych, w liczbie których wzięto Stojana, Aleksandra i starego Szumlańskiego. Lament pochodził od kobiet, zatrzymywał się wprawdzie na progach domostw, nie mniej jednak w mieście tak wielkiem jak Zarnica zlewał się w hymn boleści, śpiewany z łką przegrywką. Spadł cios nieprzewidziany. Ludzie, których on nie dotknął, truchleli. Przestrach ogólny tem był większy, że niewiedziano co właściwie spowodować mogło krok ten ze strony władzy.

Stara Szumlańska, Aleksandrowa i Elenka zawodziły i ręce łamały. Doktorowa uspokajać je usiłowała, lecz i ona sama wybuchała, gdy sobie wyobraziła ojca w więzieniu, ojca szanowanego i szanownego, który przez lat siedm dziesiąt blisko przez Turków samych był oszczędzany dla wielkiej prawości swojej. Staruszcze wydawało się to czemes tak okropnem że wywoływała co chwila:

— Skończenie świata chyba!...

Nie wzięto doktora.

— Uciekaj!... uciekaj!...

Z tem słowem zwróciły się do niego matka, szwagrowa i siostra żony.

— Ja nie ucieknę i wy rozpaczają przestaniecie!...

Przypomniał im wypadek poprzedni, kiedy mu także ucieczki doradzano i potrafił jako tako uspokoić kobiety.

Do klas schodzić się poczęły dzieci.

— Maricol!...—przypomniał żonie.

Kobiety ciągnęły ją do siebie, prosząc ażeby ich nie opuszczała w przygodzie tak wielkiej, mówiąc że jest to jej obowiązek.

— Obowiązek — westchnęła kobieta i zapytała sama siebie, czy ma pójść za sercem czy za przekonaniem.

Poszła za tem ostatniem.

Doktor w aptece lekarstwa preparował, ona obok dzieci uczyła. Wybiegała jednak od czasu do czasu do męża, ręce załamywała i okrzyk boleści ciskała:

— Ojciec!...

Doktor spojrzeniem łagodnem rozpacz jej rozbrajał. Wpadła raz ze słowami:

— Depesza do mister Waytona!...

— Cóż on poradził!... A przytem, któż depeszę odwiezie!...

— Nie ma więc rady?...

— Jest... w spokoju... w odwadze... Pójdę do paszy...

Postanowienie doktora pójścia do paszy uspokoiło nieco kobiety. Jak tonący brzytwy się chwytą, tak one chwyciły się nadziei dowiedzenia się przecie o czemś.

Zia pasza przyjął doktora z grzecznością wielką, z dystynkcyą nawet. Wystrzygając koperty pytał go o zdrowie i powodzenie, a następnie prowadził z nim rozmowę cedzonym sposobem. Co się aresztowań tyczy, ubolewał nad niemi mocno, a to tem bardziej, że dotknęły one rodziny doktora i zaręczał, że nie stanie się nad to, czego wymagać będą słuszność i konieczność.

— Czy wolno zapytać o powody? — zagabnął doktor.

— Ph, mój Boże — odparł pasza, wystrzygając nożyczkami półkole zgrabne. Wiem o nich tyle prawie, co i ty, doktorze. Racya stanu jestto bóstwo, któremu się kłaniamy i ofiary palimy...

— Ależ, przynajmniej, możnaby na ofiarę nie dawać starca.

— Czy jest tam starzec jaki?...

— Teś mój... człowiek lat siedm dziesięciu.

— Hm (tu się kopercie przypatrywał). Eh... postaram się zrobić wszystko, co w mojej będzie mocy.

— Proszę, ekscellencyi waszej.

— Bądź, doktorze, spokojny.

— Jeżeli teś mój ma odpowiadać, toć odpowiadać może z wolnej stopy. Ma tu dom, rodzinę, majątek... nie odbiegnie tego, człowiek nad grobem.

— Zapewne... tak—hm... Zobaczymy.

Doktor chciał już odchodzić. Pasza go zatrzymał: — Nie śpiesz się pan. Zdaje mi się — cedił przypatrując się pilnie ćwiartce białego papieru i rozmiernając ją nożyczkami—żem pana dawniej gdzieś widział.

— U Sefera paszy.

— Ach, jeszcze dawniej.

Doktor nadał oczom wyraz, oznaczający przywoływanie wspomnień.

— Na statku parowym, w podróży z Baziasz do Ruszczuku.

— Ach!... — zawołał doktor. Nie przypuszczam, ażebyś, wasza ekscelencya, zauważył mnie i zapamiętał.

— A jakżeby nie!...

— Pasażerów było tyłu!...

— Pan trzymałeś się w towarzystwie Anglika jakiegoś żartobliwego.

Doktorowi mimowolnie twarz od przypomnienia tego zapalała i oczy zamigotały, jakby na gorącym schwyty został uczynku.

— To dobry znajomy pański?...

— Kolega szkolny.

— A... kolega szkolny... człowiek żartobliwy... Cóż się z nim dzieje?... Gdzie się obraca?...

— Wojażuje... obecnie bawi w Gałacu.

— W Gałacu?... no?... Żartobliwy człowiek... (tu się pasza śmiać począł)... Do wściekłości doprowadził Niemca, tajnego radcę stanu... che che che...

Szybę wytlukł... cha cha cha.

Doktor gorąco pragnął, żeby pasza treść rozmowy zmienił. Jakoż pragnieniu jego zadość się stało. Po przerwie poświęconej składaniu kopert, pasza mówić począł o nudach, jakie panować muszą w Zarnicy.

— Jak pan tu wytrzymasz?...

— Oddaję się zajęciu memu, które mi czas zabiera, jestem bowiem lekarzem i aptekarzem.

— I masz żonę, miłą kobietę.

— Mam w żonie mojej towarzyszkę dobrą...

— Pani jednak, co nie jest ani lekarzem, ani aptekarzem, nudzić się musi straszliwie. Cóż ona z czasem robi?...

— Dziećmi się zajmuje—odrzekł doktor, wietrząc w zapytaniu paszy indygację, do której uważał za potrzebne przywołać całą umysł przytomność, ażeby się i złapać nie dać i prawdy nie wyznać.

— Dużo pan ma dzieci?...

— Własnych nie mam.

— Czyjemiż się pani zajmuje?...

— Ma dzieci mój szwagier, mają sąsiedzi i znajomi.

— Hm... To dobrze. Jest to także spędzanie czasu, chociaż, wyznam, nie nader miłe. Ale, jeżeli innego niema, a Zarnica musi być pod tym względem nader uboga.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Pozytywni.—Komedia w 4 aktach, przez Narzyskiego.

Utwór ten premiowany na scenie krakowskiej, zmarłego przedwcześnie dla literatury dramatycznej pisarza, ś. p. Narzyskiego, oczekiwany u nas od lat dwóch—ukazał się nareszcie w d. 3 maja na naszej scenie. Publiczność zapełniwszy teatr od dołu do góry, nie pierwszy raz złożyła dowód, ile ją zajmuje komedia wykwitła na tle stosunków swojskich, traktująca przedmiot, żywo wszystkich obchodzący, podpadający pod rozpoznanie każdego myślącego człowieka.

Chcąc przeto rozprawić się ze samym przedmiotem, potrzeba bezwarunkowo zastanowić się nad trafnością lub nietrafnością samego tytułu, boć tytuł powinien być skupieniem charakterystycznym jakiejś powziętej idei lub objaśnieniem danego tematu. Nie znając ubocznie zamiarów autora w nadaniu powyższego tytułu, musimy go interpretować ze samego tekstu sztuki, z rozwinięcia ścisłego i przeprowadzenia planu. Zbadanie ogółowe, choćby najbezsroniejsze zasad materializmu i pozytywizmu, zaprowadziłoby nas za daleko, przemieniając recenzję tę w jakąś polemiczną moze rozprawę. Nie pragniemy tego bynajmniej, chcemy jedynie objaśnić czytelników, czy autor istotnie i przeważnie miał na celu dzisiejszy prąd pozytywistyczny o ile on służyć może za godło zasad moralno-społecznych, czy też poprostu przedstawić chęć owych bojowników dzisiejszych, owych wielbicieli siły pod każdą postacią i pieniędzy jako nerwu wszechrzeczy, i tych uszeregował pod jedną wspólną nazwą: „Pozytywnych?” Otóż nie wiemy czy umyślnie czy nieumyślnie, autor nie zrobił dokładnego rozróżnienia, bo zarywając o samą kwestyą dzisiejszego pozytywizmu, jako sztandaru naukowego, a w następstwach swych jako godła moralnego, złączył go bezwzględnie z materializmem i jego smutnymi hipotezami. Podstawa tak wybrana, była niebezpieczną z wielorakich względów, z tych zwłaszcza, że obejmując w sobie zanadto, niemogła się wywiązać z zadania jasno i z koniecznym tu odłączeniem pozytywizmu jako *badania naukowego*, że nadto solidaryzując ze sobą pozytywizm i materializm w jego ostatecznych, człowieka każdego najbardziej obchodzących rezultatach, nie dała na to dowodu w sztuce, ani go nawet ze względów czysto technicznych dać mogła. Przedmiot ściśle wyprawdzający wnioski z zasad materializmu i pozytywizmu na polu społecznym, zmógłby ogromem swoim i abstrakcyjnością, najdzielniejszego pisarza; a jeżeli nie, to ściągnąłby nań z pewnością zarzut ciężki *jednostronności*. Każda zaś jednostronność w dziele dramatycznym, nie jest w stanie nietylko już rozwiązać samej kwestyi, ale wprost przekonać choćby doraznie domagających się rozwiązania widzów.

O tyle przeto, o ile autor rościł sobie pretensje do przecięcia sporu między społecznymi obozami jednym zamachem miecza, o tyle dzieło swoje niepotrzebnie obarczył i trudnościami dobrowolnie obciążył. A że te zresztą godziwe pretensje miał niezawodnie, o tem łatwo się przekonać z wielu ustępów sztuki, naprzykład z dialogu między braćmi Choryńskimi, z monologu Alfreda Choryńskiego w 4 akcie, gdy siedzi na ławce u brata, i z licznych apostrofów dziadunia Dowgiełły....

Inna rzecz wszakże, jeżeli i ten żywioł polemiczny, rozsiany gęsto w sztuce, i ten tytuł sam polemiczny „Pozytywni” weźmiemy w znaczeniu dosłownem, od dawien dawna, bo jeszcze przed szkołą pozytywną używanem, czyli jeżeli uważać będziemy „pozytywnych” jako ludzi praktycznych *par excellence*, dochodzących w ubóstwie chłodnego rozsądku i chłodniejszego jeszcze wyrachowania, do brzydkich czynów w życiu, a do absurdum w teorii. Jeżeli nam się zdawać będzie, że autor tak a nie inaczej myślał, nadając ten tytuł, i że dopiero na karb jego zaliczył wiele wad i błędów najnowszych, powstałych z przełomów bolesnych politycznych i socjalnych, to już łatwiej możemy się z nim pogodzić, to już łatwiej wytłumaczyć sobie jesteśmy w stanie, niektóre nielogiczności w samych określeniach. A idąc dalej, łatwo nam też przyjdzie zgodzić się na

podział i taki jeszcze: ultrapraktycznych realistów, czyli owych ludzi, którzy nie rozumiejąc uczuć żadnych, w zetknięciu się z niemi w życiu u osób drugich, pomijają je bezwzględnie, brutalnie, a tem okrutniej, że czynią to bezwiednie; i na niepraktycznych, rządzących się wyłącznie uczuciami, sercem, wierzących w wyższe przeznaczenie człowieka, w idee wzniosłe i w cel życia po za tem życiem doczesnem, ale i grzeszących brakiem wszelkiego rachowania się z nieubłaganymi wypadkami, z chybioną wielowzględnie przeszłością i z koniecznością reformy trwałej i nieubłaganej na przyszłość. Pierwsi brzydzą się marzeniami, poezją, uniesieniami nie dającymi się obliczyć; drudzy brzydzą się rachubą na każdym kroku, lodowatym chłodem w chwilach, w którychby gotowi byli życie położyć doraźnie, z poświęcenia, z posłannictwa odczutego duchem i tajemnym pragnieniem ideału; pierwsi widzą jasno cel dla którego pracują, a pracują wytrwale,—dla drugich, celem jest każda chwila podniesienia ducha, czasem cudnego rajskiego marzenia, rzadziej trzeźwe liczenie się z twardą rzeczywistością, z nieubłaganą maszyną świata, której potrzeba niestrudzonych i wytrwałych. Pierwsi wygrywają w życiu, bo rachunek ich skrupulatny i prawdopodobny, nieschodzący z raz obranej drogi; drudzy zapatrzeni w gwiazdy utykają co krok na ziemi, przegrywają często stawkę życia, ale opatrzeni jakąś niespożyta siłą ducha, której może sami dokładnie nie pojmują, zostawiają trwałszy ślad po sobie.

Tysiące takich porównań, wynikających z dwojakiego tego oddzielania, przytoczyłyby można;—mogą one być niedokładnie przez nas podane, zbyt krótkowe lub jaskrawe, ale i sąd ogólny zwykły się posługiwac tym często instynktownym podziałem. Zgrupowania wszelkie wyraźnego i rozdziału na dwa wyraźne obozy — nie było u nas przed laty jeszcze dziesiątkiem. Wytworzył on się dzisiaj nagle, pod wpływem odmiennego wychowania, niezmiernie ciężkich okoliczności i nieograniczonej chęci odrodzenia się pewniejszego w społeczności. Jedni widząc ciężkie błędy w przeszłości, chcieli z nią zerwać stanowczo i niepowrotnie, podwaliny dawnego gmachu wychowania z gruntu wyrzucić i na gruzach dopiero, inne, nowe, w dobrej wierze zapewne, jako za zbawiennejsze poczytane, ufundować. I stało się to co się zawsze dzieć zwykło z wszelką ostatecznością.—to jest w dążeniu do głównego celu, przytrzymały cele inne, drobne, wstępnne, rozmiągające się z celem głównym, i stające wnet w antagonizmie faktycznym z torami, obranymi przez wszystkich innych. Drudzy bowiem, umiając tylko biadać nad potarganymi wspomnieniami przeszłości, niemogąc się zdobyć na energią, i przez moc żalu swego, stali się najzaciętszymi konserwatystami. Trzeci nareszcie — i tych daj Boże najwięcej, pragnęli pogodzić jedno z drugim, — nawiązać dobre minione z rozumniejszym i chłodniejszym obecnem, tworzyć i budować na podstawie odziedziczonej, ale w granicach szczerego, szlachetnego i pełnego miłości dla ogółu, postępu.

Wszystkie te grupy widniały zapewne w wyobraźni autora, kiedy zamyślał dotknąć się pałacem żelazem bolesnych ran naszych. Ale zdecydował się na dwóch tylko wybitnych przedstawicieli wprost sobie przeciwnych kierunków — bo Dowgiełło, mówiący o nowym prądzie (zapewne pozytywnym?) jako mającym w sobie wiele dobrego, czyni to raz tylko, bardzo niewyraźnie, a zatem nie może być przedstawicielem owej godzącej, przez nas oznaczonej grupy.

Pierwszym jest Alfred Choryński—według autora „pozytywny;”—drugim brat jego rodzony Leon. Jakież są ich charaktery?—Zobaczmy.

Ojciec ich, zapalony do fanatyzmu archeolog, rozdzielił niby król Lir, majątek swój za życia między obydwóch, głównie dlatego, że jak sam mówi, „niechciał ażeby mu patrzano w oczy, rychło umrze.” Starszy syn Leon, gospodarował, żył, hulał, poświęcał się, szalał, aż i nagle stracił prawie wszystko. Młodszy tymczasem Alfred — różnica kilku lat zaledwie, ale różnica wpływów wychowania i otoczenia ogromna — nietylko odebranego działu nie zmarnował, ale owszem powiększył go spekulacjami, bankami, a nawet pożyczaniem przez trzecią osobę pieniądze ojcu na pięć procent, z obawy, iżby skoro ojciec tracić ma, pieniądze zostawały przynajmniej, jak powiada „w rodzinie.” Całym jego marzeniem jest bogate ożenienie się, ale nie na to iżby już n

— O uboga, wasza ekszellencko—podechwycił doktor, usiłując odwrócić uwagę od materji tej najdrażniejszej. Rozrywka jaka taka niepodobną jest do znalezienia. Natura tylko śliczna, położenie zdrowe, widoki zachwycające.

— Hm... hm—pomrukiwał pasza, nie odrywając uwagi od roboty swojej. Słowiki też są?...

— Na wiosnę.

— A chorych bywa dużo?...

— Ilość ogólna jest wcale umiarkowaną.

— Róże w wielkiej kwitną ilości?...

— Tyle co w ogrodach.

— A wilki napadają?...

Pasza przeskakiwał zapytaniami z przedmiotu na przedmiot, od słowików do chorych, od chorych do róż, od róż do wilków: widocznie bawił się rozmową. W zabawie tej człek złośliwy znalazłby podobieństwo do igrania, jakiemu się oddaje kot, gdy złapie mysz. Doktor przeszedł przez istne cięgi. Wytrzymał je jednak, wiele bowiem czyni ten, co musi. Pożegnał paszę z niewielką nadzieją co do skutku wstawienia się swego o teścia. Powtórzył atoli kobietom słowa paszy i te otuchy nabrały.

A z żoną miał rozmowę osobną, na której zapadło postanowienie: nie ustawać.

— Raz przerwać dla wzruszenia moralnego, to drugi raz się przerwać dla obawy, trzeci raz dla zabawy, czwarty raz dla lenistwa i w rezultacie nie dokończy się rzeczy rozpoczętej. Spokój i krew zimna. Bądź Bułgarską obywatelką.

Pierwsze wrażenie przemineło. Doktorowa odzyskała całkowitą umysłu przytomność i pełniła swój obowiązek z całą swobodą. A nie tylko pełniła go sama. Niektóre z dzieci, którym ojców poaresztowano, nie chodziły na naukę. Doktorowa udawała się do matek, którym wyperswadować potrafiła, że jedno drugiemu bynajmniej nie przeszkadza. Szkoła znalazła się w komplecie.

Tymczasem rozpoczął się proces.

Procesem nazywamy sprawę tę, dla braku wyrazu stosownego. Zarniczanie nazywali ją sądem. W sądzie tym atoli strona skarżąca, strona indagująca, strona wyrokująca i strona egzekwująca skupiały się w osobie jednej — w osobie komisarza nadzwyczajnego. Cóż to był za proces! I, co to był za sąd! Aresztowanych trzymano najprzód wszystkich razem i razem ich wszystkich przed Zia paszą stawiono. Ten na nich popatrzył i kazał ich porozsadzać pojedynczo; a że nie było na to lokalu stosownego, albowiem więzienie miejskie z jednej składało się izby, więc mudir zarekwirował u mieszkańców piwnie szesnaście, kazał takowe wypróżnić, poosadzał w nich więźniów, pozamykał ich na kłódki i klucze do siebie zabrał.

Rozeszła się wieść po mieście, że kogoś jeszcze szukają. Jakoż policja kręciła się, dokonała po domach rewizji kilku i przetrząsała mechane, w nocy zaś patrole gęsto chodziły imając i do więzienia opróżnionego prowadząc każdego, kto się po zachodzie słońca na ulicy pokazał. W ten sposób noc jedną spędził w więzieniu doktor idąc do chorego. Puszczono go atoli nazajutrz; chory umarł.

Po niejakiś czas stawiono aresztowanych przed paszą pojedynczo i on jednych rozpytywał, drugich nie. Rozpytywał zaś—o co? Jednego, czy tego a tego dnia, o tej a o tej porze znajdował się w domu lub gdzie indziej? Pytany odpowiadał, że nie pamięta i wówczas pasza mu przypominał, mieszając go przez to i z tropu zbijając. Drugiego pytał: z kim się przyjaźni. Zapytany nie umiał na to jasnej dać odpowiedzi i pasza wymienił imion parę, pomiędzy którymi figurowało imię Stojana, Aleksandra lub starego Szumlańskiego. Temu trudno było przeczyć. W sposób taki i temu podobny ciągnęła się indagacja wstępna, poczem kazał pasza wszystkich aresztowanych do jednego znów sprowadzić więzienia i jednych w żelaza pokać, drugich w dyby pozabijać. Dystynkcyja żelazna dostała się Stojanowi, Aleksandrowi i paru innym. Stary poszedł w dyby.

(Dokończenie nastąpi).

tem poprzestać, lecz żeby z pomocą nabytego majątku zwiększyć go jeszcze, i dopiero w całej pełni używać. Nie zna on, nie rozumie i nie chce rozumieć innego celu — wszystko inne, wszystko to co porusza szlachetną duszą brata, zwie: czczą deklamacją, która gubi społeczność, zabijając jednostki. Zatem cel jego jasno oznaczony: „*parvenir coute que coute*,” — co mu się sprzeciwi, co stanie na drodze, pogruchocha, nie ulegnie chyba przed „siłą” materyalną, od jego siły większą. Ma być pogruchochaną Hanna, wnuczka Dowgiełły, szlachcica litewskiego, dziewczę zazdrosne, figlarne, z sercem i rozumem. Bo on lubo jest jej narzeczonym ale jej nie kocha, oblicza tylko milion jej posagu. Kiedy stary a mądry Dowgiełło trochę sprawę przewąchał a reszty dowiedział się ze zgubionego przypadkiem listu — ułożył list, to jest udał przed nim że stracił grubo. Alfred przerażony narazie, nie waha się potem ani chwilkę — przez adwokata prowadzi interes z hrabiną Skalińską o jej córkę Jadwigę — i wnet, galopem, bez namysłu co do charakteru jej lub miłości dla niego, a tylko z kalkulacją sum posagowych, ślub bierze i intercyzę wspólności majątkowej podpisuje. Hannę poświęcił bez skrupu — na szczęście ona nie jego kochała, ale brata Leona.

Ale rozważmy dalej. Kiedy Alfred w dniu ślubu a raczej w chwili odejścia od ołtarza, dowiaduje się o podstępie matki hrabianki, mającej dożywić na całym majątku córki, (z czem się kryła aż do chwili ślubu córki i ślubu własnego z Eugeniuszem — literatem), natura jego egoistyczna aż do brutalstwa, chciwa aż do namiętności, wybucha po raz pierwszy z niezwykłą gwałtownością. Moment ten psychologiczny, uwydatnił autor doskonale i z wielką znajomością ludzi tego rodzaju. Wszak Alfred — kiedy posłany przez niego komornik przychodzi ojca tradować i kiedy tenże zalewa się łzami — zimnym jest jak lód, nieczując ohydy swego postępu, — wszak kiedy później żona układ z nim czyni obrzydły, honor jego poniżający, kiedy mu pisze otwarcie o swej dla niego pogardzie, — on pozostaje obojętny i uśmiechnięty, ale teraz, w chwili gdy zawodzą jego plany tak wyrafinowane obmyślane, gdy mu wydzierają *zapracowaną* tak mozolnie garść złota, — maż pozostać spokojnym? Nie — przynigdy! Wybucha — nie dbając o formy światowe, o konwenans, o przyszłość swoją i żony. „Oszukałaś mnie pani! — woła wściekły do hrabiny — niemogąc się już zdobyć na udawanie ani minty. Stary ojciec, poczciwy ale słaby, miękki i zostający pod tyranią jego woli i pozorowego rozumu, patrzy z boleścią na odrodzonego syna; również brat starszy Leon, niemoże pojąć takiego okropnego przeobrażenia charakteru, takiego odskoczenia natury od tradycyjalnych cnót rodowych. Usiłuje go leczyć — nadaremnie, nie udaje mu się to ani z początku ani w końcu, to jest wtedy gdy sam zostaje mężem Hanny, bogatym, a brat u niego siedzi na ławce. Nie udaje mu się to ani razu i nie uda nigdy — tak chciał autor — pragnąc napiętnować przekłętą dzisiejszy zwrot do zmysłowego użycia, do gonienia za tem, co bezpośrednio korzyść przynosi; zwrot wyrażający się najświętszych idei i godek, jako leżących w dalekiej, mglistej, nie dającej się namacać ducha krainie.

Leon zaś stanowi typ wprost przeciwny. Każdy czyn jego nacechowany szlachetnością; — on wykupuje ojca od komorników, mówiąc mu, że to uczynił Alfred, — on strzela się za honor brata, — on kocha prawdziwie, bezinteresownie, w przekonaniu że Dowgiełło stracił wszystko.

Nie powiemy, iżby nie było w tem rozdzieleniu cnót i występów nieproporcjonalnym, trochę przesady i trochę tendencyjnej woli: przeciwstawienia dwóch rządzających kontrastów, ale raz wszedłszy w wolę i zamiary autora, — uwierzyć można czynom Leona, bo będąc szlachetnymi wiele i podyktowanymi zawsze myślą zacną, czasami nawet zbyt dobroduszną, — są przecież najzupełniej moralne i możebne.

Obok Alfreda, grupują się inne jeszcze ujemne postaci, jako to: hrabiny, córki jej, Gencja literata i hrabiego; — obok Leona stoją dodatnie: Hanny, Dowgiełły i starego Choryńskiego.

Hrabina Zenobia Skalińska jest, — o ile się domyśleć można — panią wielkiego świata, zalotnicą starą i pretensjonalną, pozwalającą sobie na rozmaite

grzeszki, między innymi ma protegowanę zbyt gorącą Eugeniusza literata, pod płaszczykiem pobożności i filantropii. Jakkolwiek bardzo dobrze przystaje ona w tym obrazie do szeregu innych postaci i do rozwijania i rozwiazania intrygi, przecież typem *nowym*, bezwarunkowo nazwać jej nie można. W wielu komedjach oryginalnych spotykaliśmy się już z kobietami tego rodzaju, których nigdy nie zabraknie w żadnym społeczeństwie, i bez których też nie łatwo obejść się którykolwiek z naszych komedyo-pisarzy. Przez swoje rzeczywiście a częste pojawianie się, zacierają one coraz bardziej pierwotną oryginalność, jaką jej nadał niegdyś Korzeniowski. Z tem wszystkim w „Pozytywnych“ hrabina ma jedną scenę wybornie przez autora obmyślaną, a wykonaną z wielką znajomością świata tych kobiet. Sceną tą jest chwila przybycia z Eugeniuszem z kościoła, gdzie wzięli ślub tajemny. Pieszczoty i umizgi przeżyte kokietki z młodym chłopcem, który się ożenił jedynie dla spekulacji, i nagły wybuch jej gniewu na samo przypomnienie, iżby jej młody maż mógł dać powód do zazdrości, pozostaną nazawsze dowodem wielkiej siły komicznej w autorze. O córce jej hrabiance Julii, nie wiele rzec się da na pochwałę — jest bowiem wiele niekonsekwentną. Poznaliśmy ją przed ślubem jako niestałą, lekkomyślną, salonowymi hołdami popstutą panienkę — ba! nawet igrającą zbyt nieostrożnie z hrabią Jesionowskim; — patrzyliśmy na to, jak odrazu, bez żalu za tym hrabią, oddaje rękę Alfredowi z wyrachowania, mimo że wiedziała dobrze iż był już zaręczony z jej przyjaciółką Hanną. I nagle, zaledwo wróciła od ślubu z Alfredem, dziwi się że ten nieumie jej ofiarować miłości, oburza się na jego egoizm i brak uczuć wszelkich, pali tyradę czuchającemu na te scenkę małżeńską hrabiemu — i po wielu a wielu dosyć dwójznacznych przygodach, pozuje na nieszczęśliwą, porzuconą i nieocenioną jak należy małżonkę. Niekonsekwentna ta rzuca się zbyt rażąco w oczy, a niepotrzebnie była obmyśloną na wykazanie obrzydłego charakteru Alfreda. On przynajmniej nie żądał miłości i nie grał komedij — ona nie stając z nim u ołtarza bez winy, wymaga wzajemności i uczuć szlachetnych, które się zdobywa drogą nie takiego niecnego frymarku.

Eugeniusz Kornacki literat — należy do owej kasty nielicznej, — podobno w Galicyi rzeczywiście istniejącej — która przypodkawa swą zdolność literacką uważa za środek wyzyskania, za szczebel do zdobycia kariery jakim bądź sposobem. Pan Eugeniusz przeto pisze artykułiki w duchu Venillotowskim, chwali koteryą protekcyjną pod niebiosą, a gani przeciwników bez miłosierdzia. O przekonaniach, o sumieniu, o godności nie ma tu mowy. Pozwalamy sobie wątpić, iżby gatunek takich literatów był u nas powszechnie znanym. Przeciwnie — należy on do bardzo smutnych wyjątków, ale jako wyjątkowa postać, narysowana jest żywo, a choć jaskrawo lecz prawdopodobnie. Starą hrabinę durzy systematycznie, jest jej podnóżkiem, celadonem, wszystkim czego od niego wymaga, bo wie, że dobiwszy do portu, będzie miał wygodne życie i przestanie pisać, pisać bez odpoczynku, czem się serdecznie brzydzi. Obdarzony sprytem, zabezpieczył się wiedząc że hrabina ma sute dożywocie, którego jej nikt nie odbierze.

W przeciwstawieniu do tych figur — stoi na pierwszym planie Dowgiełło, typ szlachcica poczciwego z kośćmi, lecz znającego życie, rozumiejącego błogie skutki prawdziwego postępu, na który gotów się zawsze podpisać największem osobistym poświęceniem. Postać ta niezmiernie sympatyczna, szczerą i prawdziwą — udała się autorowi zupełnie. Wypełnia ona całą sztukę, ożywia ją i stanowi jej myśl przewodnią, kierowniczą, niby sąd obiektywny a tchnący miłością i powagą. Wnuczka jego Hanny Mirska, nieodrodziła się od zacnej krwi dziadunia. Stary Chryński w swem zamilowaniu do archeologii, dosyć naturalnie zaakrągla harmonią tego utworu, który z wielu względów stawiamy daleko wyżej od „Epidemii.“

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY,

(Dokończenie).

Już pięć lat upłynęło, jak pożegnaliśmy pannę Maryę Braciszewską, wyjeżdżającą za granicę dla dalszego kształcenia się w śpiewie. A żegnaliśmy młodą artystkę za szczerą sympatią dla jej niezaprzeczonego talentu. Głos panny Br. nie zwiastował wówczas, aby w dalszem swem rozwinięciu miał być bardzo silny, ale brzmienie jego było szlachetne, giętkość dosć znaczna, piano nawet na wysokich tonach udawało się ładnie, i przytem pewne instyktowe poczucie poetyczne nadawało śpiewowi, lubo jeszcze bardzo niewykształconemu, niezaprzeczony urok. Najbardziej wydatnym brakiem była nieczystość intonacji, pojawiająca się w wyższej skali, szczególnie przy trudniejszych passażach.

Ponieważ słabość pana Filleborna opóźniła wystawienie Fausta w Wielkim teatrze, przeto publiczność Warszawska, dość licznie na koncercie panny Friedenthal zebrana, po raz pierwszy wówczas miała sposobność słyszenia panny Braciszewskiej. Z przyjemnością zaświadczamy, że wrażenie było bardzo korzystne i rzec można, zgodne bardzo z powziętymi dawniej nadziejami. Głos stał się pełniejszym, bardzo dźwięcznym, lubo nie silnym, przybyła metoda, frazowanie, wdzięku wiele — wszystko to złożyło nader sympatyczną całość. Arya z Freischütza, lubo w niektórych ustępach (szczególniej w modlitwie), zadziwiła nas cokolwiek odmiennem pojęciem, wykonaną była jednak z bardzo starannem cieniowaniem i z iskrą prawdziwego zapału. Drobne piosnki udały się wysmienicze, szczególnie włoskie, w tym bowiem języku wymawianie wyrazów u panny Br. jest wyborne; w niemieckim jest dobre, ale o stopień niżej; nad francuzkiem i polskiem jeszcze pracować trzeba. Nieczystość intonacji zjawiała się jednak w niektórych ustępach, mianowicie w „Echo suisse“ Eckerta, i cokolwiek nas zaniepokoiła co do mającego się wkrótce odbyć scenicznego wystąpienia.

Lecz szczerze powiadamy, że po tak sympatycznym debiucie na koncercie, nie przypuszczaliśmy bynajmniej, aby występ w Fauscie tak się bardzo nie powiódł, jak to miało miejsce. Mimo wielkiego niepowodzenia, jakie spotkało pannę Br. w tej roli, chcielibyśmy jeszcze raz słyszeć ją na scenie — zdaje się nam bowiem niepodobnem, aby drugie wystąpienie nie zatarło wrażeń pierwszego. Cała poezya jakiej ślady znajdowaliśmy na koncercie, owe ładne piano, wdziek, wszystko zginęło — pozostał się tylko śpiew lekliwy, bez wyrazu i frazowania, i co najgorsza, tak bardzo fałszywy w intonacji, że niepodobna było poznać, że to ta sama śpiewa osoba. Prawda że z powodu słabości pana Filleborna, który nie śpiewał, ale nucił nieledwie, z powodu nareszcie niewłaściwego obsadzenia innych ról męzkich, całe to przedstawienie dziwnie źle mogło usposabiać debiutankę — jednak to istotnie było zadziwiającem, że rzeczywisty talent panny Br. nie potrafił ani razu się przebić przez powyższe przeszkody, i zajaśnieć choć w paru miejscach swobodnie.

Na teraz więc, lubo z żalem, musimy zupełnie niekorzystnie wyrzec zdanie o tym występie, i albo sądzimy, że wcale panna B. nie może śpiewać na scenie, albo też przynajmniej, że ograniczyć się powinna na rolach lekkich, nie wymagających zbytniego natężenia głosu. Owa nieczystość intonacji musi mieć związek pewien z forsowaniem głosu, i jeżeliby miała się zmniejszyć lub zginąć zupełnie, to tylko przez studia bardzo cierpliwe i ostrożne.

Trzy poranki muzyczne, urządzone w resursie kupieckiej staraniem pana Władysława Żeleńskiego, lubo nielicznych ścisnęły słuchaczy, wszakże były nadzwyczaj piękne i obmyślane bardzo starannie pod względem programów. Niektóre ustępy tych programów na szczególniejszą zwłaszcza zasługują wzmiankę, że na pierwszym planie tu postawimy znakomicie piękne trio utworu samegoż p. Żeleńskiego, wykonane na drugim poranku. Kompozytorka ta już oddawna zaciekała prawdziwych znawców i miłośników muzyki — miała być bowiem wykonaną jeszcze na koncercie p. Żeleńskiego przed kilkoma

miesiącami, czemu przeszkodziła nagła wówczas słabość p. Górskiego. Nie możemy po jednorazowym słyszeniu dzieła wyrokować o niem zupełnie dokładnie—wszakże powtarzamy że jest to dzieło znakomite, napisane z nadzwyczajnym opracowaniem szczegółów technicznych. Składa się ono z trzech części, które autor opatrzył godłami z dzwonu Szylera: „Vivos voco! mortuos plango! fulgura frango!“. Ze wspomnianych trzech części najjaśniejsz odrysowała się przed nami część druga, mająca formę waryacji, przeprowadzonych z wielką powagą i poezją, zupełnie w duchu Beethovenowskim.

Również jedną z najciekawszych *nowości* muzycznych był wspaniały kwartet Cherubiniego, wykonany na trzecim poranku, zapewne po raz pierwszy w Warszawie. Także godzi się wspomnieć z najwyższym uznaniem o grze pana Zarzyckiego na tymże ostatnim poranku. Wykonał artysta dwa ustępy Bacha z niezrównanym wdziękiem i prostotą, a potem etudę Liszta „Gnomenreigen“ z ogromną brawurą.—Nadto p. p. Zarzycki i Thalgrün wykonali Sonatę Mendelsohna z wiolonczelą — i odegrali ją wybornie — szkoda tylko, że fortepian nie był przymknięty, gdyż ton jego świetny cokolwiek przysłuszał towarzyszący mu instrument. Część wokalną tych poranków reprezentowały panie Uszyńska i Szlezygier, oraz pan Noskowski.—Tak ustępy wokalne, jak i kwartety smyczkowe wykonane były prześlicznie. Pan Makowski na pierwszym poranku, wybornie odegrał kwintet Schumanna.

Jan Kleczyński.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Kraków w kwietniu

Jeszcze w kwestyi młodzieży. — Nasze stowarzyszenia prywatne. — Towarzystwo rolnicze Krakowskie. — Ś. p. Julian Kirchmajer. — Towarzystwo Tatrzańskie. — Wystawa obrazów. — Teatr. — Śmierć Iwana Groźnego dramat hr. Tolstoja. — Kilka słów w odpowiedzi Julianowi z Poradowa. — Wyrok na maszynistę kolei. — Nieznajomość przepisów i most za rogatką Warszawską.

Już kilka razy, a nie dawniej jak w ostatnim liście, pisałem przeciw zajmowaniu się młodzieży wyższych zakładów naukowych urządzeniem balów, odczytów i innych zabaw. W tym samym duchu wystąpiło również jedno z pism Krakowskich, wykazując niewłaściwość trawienia przez młodzież czasu na podobne cele, i moralne niekorzyści przyzwyczajania do udawania się na drogę publicznego miłosierdzia. Przecież tej młodzieży nie można opuścić, zostawić własnemu losowi i własnemu nieszczęściu; ma ona istotnie liczne potrzeby, pomiędzy nią panuje często bieda i nędza, może głód, niewątpliwie niedostatek. Profesorowie też wyższych zakładów naukowych powinni pomyśleć o założeniu towarzystwa, któreby wzięło na siebie dostarczanie młodzieży biedniejszej środków pomocy, czy to w pieniądzu, czy w książkach. Obok takiego stowarzyszenia profesorów mogłaby istnieć pewna spójnia pomiędzy młodzieżą samą, w celu wzajemnego poparcia moralnego i umysłowego. Oto jest treść wspomnianego artykułu, z którą zgadzając się najzupełniej, napróżno jednak oczekiwałem, by ta inicjatywa wydała pewne owoce. Dotychczas przynajmniej, a już upływa miesiąc od czasu ogłoszenia artykułu, nikt więcej nie zabrał głosu, żaden z profesorów nie uznał za słuszną podjąć myśli, która by zdaniem mojem, mogła jedynie skutecznie oddziaływać na moralne podniesienie ducha młodzieży. Panuje tu dziwne spaczenie umysłów biurokracizmem. Ile razy idzie o niewykonanie czegoś, tyle razy można być pewnym pogardy przepisu i paragrafu; skoro przeciwnie należy coś przedsięwziąć i wykonać, wówczas biurokracizm występuje z całą siłą: nie można ominąć przepisu, nie można uczynić nic więcej, jak żąda paragraf. Stoi on na zawadzie wszystkiemu, co nadaje impuls życiu. Gdzie niema paragrafu, tam niema nic, nie się nie dzieje, nie działa nie może. Poczucia obowiązków, inicjatywy prywatnej niema też wcale, i z tego powodu towarzystwa prywatne, przedsięwzięcia nawet ekonomiczne są tu prawie nieznanymi; bo do nich potrzeba czynnego zajęcia się, nałożenia na swe barki pracy nieograniczonej żadnym przepisem. Żadne

z istniejących towarzystw nie zyskuje poparcia, gdyż zarządy nie robią nic czego jaki paragraf nie przewidzi, a trudno tworzyć na każdą czynność sto lub więcej paragrafów, do opisu rzeczy zawsze i wszędzie zrozumiałe się dające.

Nie może więcej nie dowodzi tej biurokratycznej apatii obywatelstwa galicyjskiego, jak towarzystwo rolnicze, którego posiedzenia właśnie temi dniami odbyły się. Nie zaprzeczają tu pożyteczności tego rodzaju instytucji, a dziś szczególnie, gdy ministerstwo handlu uważa prywatne towarzystwa rolnicze niemal za swe organa, udziela im znacznych subwencji, pyta o radę i zdanie w każdej ważniejszej sprawie—towarzystwa te mogłyby istotnie zdziałać bardzo wiele. Ale cóż kiedy niema ustawy podzielonej na 10,000 paragrafów, która by przepisała kto do towarzystwa ma należeć i w jaki sposób działać; o czym zaś nie pomyślał paragraf, to nie może stać w głowie żadnego prawego galicyjanina. Mamy zatem c. k. towarzystwo rolnicze krakowskie z prezesem, wiceprezesem, komitetem, sekretarzem i wszelkimi przyborami tytułów i form, na jakie się tylko imaginacja zdobyć może, ponieważ te wszystkie formy są przewidziane w paragrafie; ale właściwie nie mamy wcale towarzystwa rolniczego, po za tą bowiem zewnętrzną powłoką niema nic, albo tak dobrze jak nic. Trzeba zaś o tem pamiętać, że wykształcenia ogólnego wcale tu nie mniej jak gdzieindziej, korzyści stowarzyszeń rolniczych są dobrze wszystkim znane, chętnie powtarzają o tem i wyliczyć potrafią zasługi, jakie towarzystwa podobne przynoszą rolnictwu na całym świecie; brakuje tylko działania, nie dostaje pomysłów, ponieważ niema chęci do samodzielnego myślenia i samodzielnej pracy. Gdyby można prywatną inicjatywę zamknąć w licznych szeregu paragrafów i dokładnie opisać: co i kiedy działać i mówić, — wówczas sprawy poszłyby daleko lepiej. Społeczeństwo bowiem nasze na wskroś przesiąknięte biurokracizmem i wiele lat zapewne przedzie, zanim otrząsnąć się zdoła z systemu, który zaraził całą krew narodu.

W takich warunkach nazwać można prawdziwą stratą ubytek człowieka, który od lat kilku zaledwie wszedłszy na arenę publiczną, przyniósł ze sobą gorliwość w pracy i rzadką sumiennność, a wcześniej barzo zakończył żywot. W dniu 24 kwietnia zmarł pod Krakowem Julian Kirchmajer prezes rady powiatowej Krakowskiej, poseł na sejm krajowy i do rady państwa, w 48 roku życia. Człowiek ten, stonkowno miernej fortuny, używał w swej okolicy wielkiego miaru, a nawet znacznego wpływu; zawiązywał zaś to głównie obywatelskiemu pojęciu obowiązków. Mieszkając na wsi, pomimo sztucznego rozdziału, jaki ustawy tutejsze zaprowadziły pomiędzy gminą włościańską a dworem, czuł solidarność interesów ekonomicznych, społecznych i moralnych, jakie wiązać powinny obie strony, i postępowaniem swem zyskał takie zaufanie u ludu, że włościanie nawet sąsiednich wiosek przychodzili doń zawsze po objaśnienie i radę w każdej ważniejszej sprawie, a zarazem jemu powierzali wszelkie godności z wyborów pochodzące. Ustawa wyboreza u nas każe oddzielnie wybierać reprezentantów do wszelkich zgromadzeń: gminom włościańskim, miastom i tak zwanej większej własności ziemskiej. Otóż ś. p. Julian Kirchmajer był zawsze wybierany przez włościan. Na polu publicznej służby okazywał równą obywatelską gorliwość i występował zawsze, jako rzecznik szeroko pojmowanej autonomii. Należał on między innymi do liczby niewielkiej postów i ludzi dobrej woli, którzy przed kilkoma laty przygotowali projekta reformy administracyjnej dla Galicji i reformy ustawy drogowej. W sejmie też lwowskim w ostatnich latach był stałym referentem spraw drogowych i bardzo czynnym członkiem prac w komisjach. Ogłaszał zaś corocznie sprawozdania ze swej czynności poselskiej, w których jasno i zrozumiale dla ludu wyjaśniał wyborcom, nietylko swe osobiste kroki, ale całe postępowanie sejmu i przedstawiał stanowisko polityczne, jakiego się trzymać należy.

Nie był to człowiek jaśniejszy zdolnościami lub wymową, ale miał nader praktyczny umysł i pogląd na rzeczy, wielką i rzadką bardzo gorliwość, a przyciągał i zjednywał wszystkich niezmierną prawością charakteru; to też na jego pogrzebie zgromadziły się wszystkie stany: i większa własność, i chłopci i żydzi, a zapewne niełatwo przyjdzie komu innemu zastąpić miejsce zmarłego. Im mniej mamy cichej pracy,

i gorliwości obywatelskim duchem natchnionej, tem większą szkodę poniósł kraj w jego śmierci.

Z tego, com powyżej mówił o towarzystwach różnego rodzaju, wypada, że z wielką ostrożnością przychodzi mi pochwalić pomysł towarzystwa tatrzańskie, które tu temi czasami zawiązało się. Pomysł sam bardzo ładny, a wzoru dostarczyły różne zagraniczne towarzystwa alpejskie, oraz towarzystwo karpacie w sąsiednich założone Węgrzech. Natura obdarzyła Galicyę w okolicę górystą, obfitującą w najpiękniejsze widoki, nie ustępujące wcale zagranicznym; ale dotychczas dostęp do tych czarów natury tak jest utrudniony, że prócz swoich zaledwie niekiedy ekscentryczny anglik zawita w te strony, wynosząc ze sobą wrażenie, iż zwiedził kraj dziki, w którym nie umieją korzystać z niczego i gdzie niema kędy odpocząć spokojnie i wygodnie przespać się, a zjeść uczeiwie. Otóż towarzystwo tatrzańskie będzie miało za zadanie uczynić nasze Tatry dostępniejszemi dla zwiedzających, pourządzać drogi, baraki i służbę do ich pilnowania, a zarazem wpływać na ulepszenia pod względem wygody podróżnych. Z roku na rok coraz większa liczba ciekawych wybiera się na stały pobyt w lecie do Zakopanego, zkad robią wycieczki w góry; również goście ze Szczawnicy i innych miejsc kąpielowych zwiedzają szczyty tatrzańskie, a kolej wkrótce zbliży te okolice więcej do cywilizowanego świata; koniecznie zatem wypada uczynić je przystępnymi dla ludzi, chociażby niezbyt wiele wymagających. Nie samą jednak przyjemność szukającym rozrywki mogłoby zgotować towarzystwo tatrzańskie; jeśli jego czynność rozwinie się porządnie, oddać ono może wielką usługę materialną całej okolicy. Strona to mało urodzajna, przynosząca szczupłe zyski rolnikowi; gdyby ją podczas lata ożywiono napływem gości, dałoby to sposobność miejscowym mieszkańcom do zarobku i zapobiegłoby w części często powtarzającej się nędzy. Życzyć więc tylko trzeba nowemu towarzystwu najświetniejszego rozwoju i stosownego kierownictwa; a właśnie w pierwszym zaraz roku swego istnienia przyjdzie mu ułatwiać dostęp do Morskiego Oka dla następcy tronu austriackiego młodego arcyksięcia Rudolfa, który ma tego lata od węgierskiej strony zwiedzać Tatry i podobno zanocuje przy Morskim Oku. Odwiedziny te powinny być korzystne dla towarzystwa; na pierwszym bowiem kroku zmuszą je do działania, a może nawet zjedną wysoką protekcję, której samo przyrzeczenie niejedną grosz na potrzeby towarzystwa w przysporzyć jest w stanie.

Życie towarzyskie ze świętami wielkanocnymi zupełnie ucichło, niewiele też o niem byłoby do powiedzenia. Dawno tylko proponowany salon literacki podobno przychodzi do skutku, i to pod bardzo szumną dewizą: obiadów czwartkowych. To też niektórzy niedowierzają kiwają głowami — może przez zadrność. Dotychczas rzecz ta wkracza jeszcze bardziej w sferę prywatnego, aniżeli publicznego życia, pozostawmy więc ją przyszłym losom sztuk nadobnych i kulinarnych; spiesząc na wystawę, dokąd nas znowu wzywa pędzel Matejki.

Wystawił on w szczupłych ramach, naturalnej wielkości, górna połowę postaci wojownika trzymającego w ręku krótki sztuciec skałkowy. Zbroja na rycerzu pancerna; okryty płaszczem; na głowie ogromna czapka futrzana w kroju, w jakim noszą ubranie głowy ukraińscy chłopci. Twarz ogorzała, o wyrazistych rysach, obrzymiem wypukłym czole i z długą, rozwianą, siwą brodą, ma wystawiać Ostafiego Daszkiewicza, dzielnego atamana Żaporców. Jest to jakby część płótna wykrojona z wielkiego obrazu, tyle życia i czynnego działania, tyle ruchu w tem przyłożeniu się do broni i oczach zapatrzonych w dal; a co za wyraz pełen siły, szorstkości i otwartej, wojkowej, nieustraszonej duszy; nie mówiąc już o zawsze nieporównanych szczegółach ubioru! Szczególniej sztuciec, wykończony z największą troskliwością, jak się ktoś wyraził, sam przez się jest małym arcydziełem. Podobno i ten obraz naszego mistrza zostanie w miejscu, tak samo, jak poprzedni wyobrażający Borkowicza, a zakupiony przez księżnę Czartoryską. Byłoby to bardzo do życzenia. Wielkie obrazy Matejki nie znajdują nabywców, ponieważ nie mamy ani takich galerii, gdzieby je można umieścić, ani takich zamożnych miłośników sztuki i ostatecznie zapewne przejdą w obce ręce. Niech więc przynajmniej pozostaną w kraju, chociaż rzeczy tańsze, dostępniejsze dla nas.

Wystawa Krakowska zasilana przez utwory najlepszych polskich artystów, zawsze jest najbardziej godną widzenia. Od dość dawnego już czasu znajduje się na niej Unia i Kopernik, oraz kilka dawnych i nowych portretów Matejki, które pomimo pewnych zarzutów krytyki, mają swą oryginalną i zawsze mistrzowską stronę. Rodakowskiego przybyły znów dwa portrety: malarza i literata Kaplińskiego Leona, oraz księcia Marcelego Czartoryskiego. Jest także bardzo ładny portret ks. Adama pędzla Delarocha. Liczne okazy tego rodzaju stały się przedmiotem oddzielnego studium o portretach na wystawie Krakowskiej, które ogłosił p. M. Sokołowski. Jest to praca fachowego znawcy grzesząca nieco przesadnym językiem, ale wypowiedziąca niemało trafnych uwag. Nawet pisma humorystyczne nie pominęły sposobności porównania portretów na naszej wystawie znajdujących się; *Diabeł* bowiem napisał dowcip, który tu, o ile go zapamiętam, przytoczę: Mężu, każ mi malować, wszak jesteś bogaty; niech Rodakowski zrobi twarz, a Matejko szaty. Już ci nie można tego brać w znaczeniu, jakoby twarze Matejki były źle malowane; ale to pewna, że miękki i łagodny ton, jaki Rodakowski nadaje swoim portretom, daleko więcej musi pociągać, szczególniej płęć piękną, aniżeli bardziej realistyczny, trochę chłodny i surowy wyraz portretów Matejki. Sokołowski powiada, że osoby na portretach Matejki wyglądają, jakby brały udział w jakiejś akcji dramatycznej, kiedy Rodakowski umieszcza je w spokojnej sferze salonu.

Jest jeszcze na wystawie niewielki obrazek zwracający powszechną uwagę. Jest to Chełmońskiego koń ciągnący w małych saneczkach zniechętego człowieka i ścigany w pustem śnieżnym polu przez wilki. Przynajmniej do obrazu doznaje się przykrego wrażenia, tak uderza w oczy nieproporcjonalność olbrzymiego zwierzęcia do małych saneczek, na których leży na wpół umarły woźnica. Koń ten raczej wygląda na potwora, aniżeli na konia; przyjrząwszy się bliżej dostrzeżę się talent w rysunku i nabiera przekonania, że malarz chciał tak uczynić i rozmyślił nie tak niezwykle rozmiary nadał swemu koniowi. Wygląda też obraz nie na przedstawienie rzeczywistości, ale raczej na marę sennego widziadła; a znawcy przyznają wiele talentu pojedynczym szczegółom.

Snać wystawienie ostatnich chwil gasnącego życia znakomitych ludzi przedstawiać musi wiele bardzo trudności. Widzieliśmy tu ostatnie chwile Chopina, Mozarta i mamy ostatnie chwile księcia Adama pędzla de la Roux, ale żadne z nich nie wyszły poza najbardziej zwykłe, konwencyonalne formy. Płacz przytomnych, w dłoniach ukrywające się twarze, kłęzące postacie, oto mniej więcej wszystko; a z małymi zmianami mogłoby się stosować również do wszystkich znakomitych i nieznakomitych osób. W obrazie de la Roux pięknem tylko jest światło rozchodzące się w dużym pokoju od gromnicy tkwiącej w ręku umierającego.

Pierwszy raz widzimy pracę Joryniego z Odessy, przedstawiającą „Aimę“ wykutą z marmuru, niewielkich rozmiarów. Jest to utwór pełen idealności; unosząca się w powietrzu, zwojami lekkiej szaty owinięta dusza, ulatuje w górę, mając nad czołem pochodnię światła. Szczególniej dolna część ciała nader estetycznie wykończona. O innych rzeźbach i obrazach nie piszę tym razem, chciałem wybrać to, co mi się zdawało najbardziej godnym wspomnienia.

W teatrze naszym zaszła zmiana korzystna, ponieważ wrócił na naszą scenę zdolny artysta p. Ładnowski, wraz z żoną, która jakkolwiek nie posiada talentu, ale za to obdarzona od natury bardzo hojnie; a na scenie piękność ma także swe zalety. Natomiast podobno tracimy Rychtera, co jeśli się sprawdzi, powinno być sceną lwowska zaprosić go do siebie; tylko, że podobno we Lwowie dzieją się tak dziwne rzeczy, iż jak nas zapewniano nie prędko da się tam urządzić porządnym kierunkiem teatru skarbkowskiego. Z nowości na scenie naszej zasługuje na wzmiankę tragedia hr. Aleksiego Tołstoja: „Śmierć Iwana Groźnego“. Jest to w nowszej literaturze dramatycznej utwór, jeśli nie najlepszy, to stojący w każdym razie w pierwszym rzędzie. Nie miałem sposobności czytać go w oryginale, znam tylko w tłumaczeniu prozą, dokonanem w Krakowie przed kilkoma laty. Jakkolwiek piękny w czytaniu, dramat hr. Tołstoja zyskuje ogromnie na scenie, pomimo, że teatr nasz posiada zbyt słabe siły na oddanie wielkich

tragedyi, mianowicie zaś w układzie tak prostym, starożytnym, jak „Iwan Groźny“. Niema w tym dramacie żadnych efektów wyszukanych, żadnej powieści; ale z klasyczną powagą, zwięzłe, treściwe rozwija się akcja historyczna, narysowana z prawdą i głębokością, a zarazem z wiernem odtworzeniem epoki. Poczyniono tu, niezbyt potrzebnie, małe skrócenia; zapewne dla tego, żeby reżyserzy oszczędzić kłopotów ustawicznej zmiany sceny.

Skoro mówię o teatrze, pozwólcie mi stanąć we własnej obronie; wzmianka bowiem moja o „Lili Wawelu“ wywołała odpowiedź autora dramatu, której nie mogę pozostawić w milczeniu. W jednym z poprzednich listów ogłoszonym w Nr. 5 *Bluszczu* b. r. napisałem słów kilka po przedstawieniu Lili Wawelu na scenie krakowskiej, a mogę to sobie uważać za zaszczyt, że z pomiędzy licznych krytyk utworu, autor wybrał właśnie moją i w jednym z pism krakowskich na nią odpowiada. Oddając pochwały dramatowi, wytknąłem głównie fałszywe stanowisko, jakie autor dał w nim Jagielle, stawiając go na ostatnim planie, jako mglistego kochanka, bez żadnej politycznej myśli, nie umiejącego się wznieść ani razu po nad poziom ludzi zwykłych, nawet po nad sferę ludzi mniej niż miernych.

Te moje uwagi skłoniły p. Juliana z Poradowa do zarzucenia mi: po 1-e że jako autor oryginalny i nową tworzący szkoły jest narażony na to, że go sądzą według metody, którego z poprzedników, a gdy od takowych różni się, zarzucają mu pełno błędów fikcyjnych; 2-e że celem jego jest właśnie upowszechnianie historii, której ścisłe trzyma się, a przeciw której właśnie krytyk ma grzeszyć; 3-e, staje w obronie Wilhelma, że nie był awanturnikiem, jak'em się wyraził, i po 4-te na koniec i to główna treść odpowiedzi, stara się dowieść, że wiernie z historią wystawił postać Jagielle, był to bowiem monarcha słabych zdolności umysłowych.

Wysoko stawiam autora „Lili Wawelu“ i „Obrony Częstochowy“, ponieważ nie idzie on torem nowszych pisarzy francuskiej szkoły i umie podnieść widza w krainę wyższych myśli i uczuć; posiada przytem styl wykwiutny i niepospolity dar unikania wyrażań utartych, komunałów. — Jest w tem wielka zasługa, tem większa, im rzadziej teraz przychodzi spotykać się z podnioślejszymi poglądami. Nie mogę jednak przyznać p. Julianowi z Poradowa, aby tworzył nową szkołę. Przeciwnie, według mnie idzie on dobrze znanym szlakiem, po którym z nowszych naszych pisarzy stąpają: Szujski, autor Gwiazdy Syberyi i kilku innych. Formy nowej w utworach tych niema i niema też powodu sążenia ich według nowej jakiejś metody. Rzadko komu zdarza się być oryginalnym pod względem formy, a jeśli już do oryginalności mówić przyszło, to prędzej hr. Tołstoj mógłby do niej rościć pretensję, aniżeli ktokolwiek inny. Oryginalności formy w dramatach Juliana z Poradowa naprózno byśmy szukali; tak samo, jak niema w nich i ścisłości historycznej, cechującej dramaty Tołstoja. Historia przedstawia się Julianowi z Poradowa w barwach uczuciowych, w jakich w ogóle wyobrażaliśmy ją sobie do ostatnich czasów. Wystawia on sobie dzieje pełne cudów i romansowości, a wychodząc ze zdania, że u nas uczucie przemagało nad rozumem, patrzy na wypadki li tylko przez szklana serca, nie badając bliżej powodów i przyczyn działania. To też zmienny co chwila Gniewosz z Dalewic czyni wszystko z naiwnej dobroci serca, a nie przez złość charakteru; a sam Jagielle ma na oku jedynie miniaturę młodej Jadwigi. Komtur Zakonu nie mógł także pozostać na prostej drodze, ale każe mu autor kochać się w królowej. Kasztelan krakowski przemawia do Wilhelma językiem, jakim wprawdzie przemawiano u nas w sto lat później, ale nie u schyłku piastowskich czasów. Politycznych celów nigdzie niema, ani u Litwy, ani u szlachty polskiej, a stosunek do ludu wystawiony z sentymentalnej strony. Dla tego też w dramacie historycznym jest właściwie sama postać Jadwigi, ponieważ w niej ta strona serca przeważyła grała rolę; ale jako sztuka historyczna „Lilia Wawelu“ nie daje rzeczywistego obrazu swojej epoki.

O Wilhelmie może niesłusznie powiedziałem, że był awanturnikiem, chociaż jego wiązanie się z cesarzem Wacławem i wypuszczenie go z Wiednia, oraz wyprawy do Morawi i Węgier, poniekąd sąd ten usprawiedliwiają. Autor sam przyznaje, że był chciwym i intrygantem, a pomimo wszystkich pozorów za-

chowanie się jego w Krakowie dawało już w nim przewidzieć te przymioty.

Nie trzeba koniecznien wyobrażać sobie Jagielle jako piorunu wojennego, jakby drugiego Napoleona lub Cezara, aby go sobie jeszcze nie wystawiać za zupełnego niedołęgę, jakim jest w dramacie Jagielle, który w pierw na Litwie z Krzyżakami bratał się i więził Kiejstuta, a potem przez połączenie z Polską pragnął osiągnąć panowanie nad obszernym i na dzielnicę podzielonym krajem, nie dla samej miniatury królowej czynił znaczne dla Polski ustępstwa. Chociaż więc Jagielle nie był geniuszem, to przecież wiedział dla czego szukał z Polską sojuszu, a i potem był on również ważnym czynnikiem w wypadkach, które po długim szeregu walk doprowadziły do upadku Zakonu.

Tyle słów odpowiedzi p. Julianowi z Poradowa. Przypominam sobie, że zaraz po owym ustępie poświęconym „Lili Wawelu“ donosiłem o strasznym wypadku, jaki spotkał p. p. Wielogłowski i Jakowlewa w przejeździe przez szynę kolei północnej. Dzisiaj mogę już donieść o rezultacie procesu karnego, jaki wytoczono maszynieście za nieostrożność, która spowodowała śmierć jednej osoby i skaleczenie dwóch innych: został on skazany na 7 miesięcy więzienia. Śledztwo wykazało przytem, że koleje nie zważają na przepisy, że nawet wyżsi urzędnicy nie znają rozporządzeń co do obowiązków dawania pewnych sygnałów przy przesuwaniu wagonów, łatwo zatem zrozumieć przyczynę tylu wypadków, jakie tak często tu miewają miejsce. Z powodu nieszczęścia, jakie spotkało p. p. Wielogłowskich zjeżdżała komisja rządowa do Krakowa i uznała, że kolej winna na tym przejeździe urządzić most, podwyższając nasyp na szosie. Wydatek ten ze stu tysięcy reńskich dla najbogatszej austriackiej kolei byłyby nader mało znaczącym, ale broni się ona przed nim jak może. Tymczasem różne już inne wypadki zdarzyły się na tym przejeździe i rząd dobrzeby uczynił, gdyby most i nasyp własnym kosztem urządził, zanim rozstrzygniętą zostanie kwestya, kto wyłożone fundusze będzie obowiązany zwrócić. Inaczej bowiem na drodze procesu rzecz może się przewlec bardzo długo z narażeniem życia przejeżdżających drogą ku Michałowicom, jedną z najbardziej uczęszczanych przez ładowne zbożem wozy i fury handlowe.

Z WIEDZY PRZYRODNICZEJ.

Obrazy świata pierwotnego.

(Dalszy ciąg).

Najcharakterystyczniejszym przeciw rysem peryodu oolitu wierzchniego, jest ukazanie się ptaka. Dotąd ziemia posiadała zaledwie niedołęgłe ssaki workowate—odtąd powietrze jej ożywiać będą twory skrzydlate.—W kopalniach kamienia litograficznego w Solenhofen, znaleziono nogi i pióra ptaka z tej epoki pochodzące—głowy nie wykryto. — Nadano mu nazwę *ptaka z Solenhofen* (Archaeopteryx). W morzach zepoki oolitu wierzchniego, znachodzimy ryby z rodzajów: *sirophodus*, *lepidotus*, *microdon*. — Mięczaki głowonogie niebardzo są liczne, natomiast amonitów mnóstwo i to nowogatunkowych, jak naprzykład: *Ostrea virgula*, *Trigonia gibbosa* i wiele innych.

Roślinność reprezentują ciągle jeszcze paprocie, sagowce, drzewa szyszkowe, a w wodach słodkich rozrasta się *zostera*, czyli *trawa morska*, krzewiąca się dziś na piaszczystych pobrzeżach.

Góry Jura należą, jak sama ich nazwa wskazuje, do utworu jurasowego — lejas wierzchni napotykanym bywa głównie w Pyrenejach i w Alpach.

Warstwy jurasowe istnieją w Hiszpanii, we Włoszech północnych, w Rossyi, a mianowicie w guberniach Moskiewskiej, Symbirskiej, Włodzimierskiej, Wołogodzkiej, Archangielskiej i w Krymie. — W Niemczech zajmują szerokie obszary. — W Austrii utwór jurasowy występuje najwydatniej w Tatrach i w Krakowskim. — Wszystkie trzy jego układy a mianowicie lejasu, oolitu środkowego, i wierzchniego koralowego, tam znajdujemy. — Szczyty

i stoki doliny Kościeliskiej, skały Zakopanego i Jaworzyna, są po większej części lejasowe, miejscami dolomity nummulitowe wskazują utwór eoceniczny. Oolit środkowy przejawia się w Brodłach, Baczynie, w Ostrowcu, Kościelcu, a także u nas około Olkusza. Utwór wierzchniego oolitu złożony bywa z wapieni marglowych, gąbkowych i koralowych. — Wapieni marglowaty mamy w Sance i w Wodnej, wsiach Krakowskich. — Z wapienia gąbkowego wyformowany jest Wawel i skały około Krakowa, tudzież skały Kostrza, Tyńca, Bielan, Krzeszowic, również u nas Ojcowa, Pieskowej Skały, Złotego Potoku, Rabsztyna, Olsztynu i Częstochowy. — Wapienie zaś koralowe występują w Jędrzychowie i Roczynach w Galicji zachodniej, około Przemysła, Dubiecka i Dynowa w powiecie Sanockim, oraz około Małogoszczy, Korytnicy i Hły. — Juras przejawia się też w północno-zachodnich guberniach państwa.

Pokłady jurasowe odkryto niedawno w Indyach — wytworzyły one prawdopodobnie Himalaje, również jak Andy Ameryki — geologowie znaleźli tenże utwór w Nowej Zelandyi.

W epoce tej Europę zachodnią pomnożyły lądy wydzwignięte z topieli morza.

Następnej epoce nadajemy nazwę Kredowej z tej przyczyny, że w czasie tego utworu, warstwy osadzone przez morze, składają się prawie wyłącznie z kredy, czyli z węglanu wapna. — Węgiel wapna przejawiał się już wcześniej, znajdujemy go bowiem w sylurycznej formacji. — W epoce jednak którą mamy rozpatrywać wytworzył najrozleglejsze masy.

Wapno wystąpiło na powierzchnię ziemi, jak wiadomo z wód gorących, które wytryskały z jej wnętrza przez rozpadliny — w wodach tych bowiem, było ono rozpuszczone. — W jaki jednak sposób ten dwuwęgiel wapna będący w roztworze, wyformował osady na ziemi. — Oto pytanie które objaśnić wypada. W ciągu wieków geologicznych morze pokrywało prawie całą ziemię, a źródła gorące przesycone solami wapiennymi, osadzać je musiały koniecznym w łożysku wód. — Ocean wówczas zawierał przynajmniej 2% wapna. — Niezliczone zwierzęta żyjące w morzach owocnych, a mianowicie zwierzęta kręwe, mięczaki pancerne, ośladnęły tem wapnem, tworząc zeń swą tarczę mineralną. W morzach wapnem tak przesyconych, rozradzały się nieustannie dziurkowce i polipy w olbrzymim mnóstwie. — Cóż nastąpiło po śmierci tych miliardowych, często mikroskopowych jestestw? Oto ciało ich uległo zniszczeniu zniknęło, pancerz zaś wapienny pozostał i wytworzył grube warstwy osadowe w łożysku morza. — Warstwy te powiększając się ciągle, po upływie wielu wieków wytworzyły rozległe pokłady wapienia dziś istniejące. — Wszystkie kamienie wapienne używane do budowy naszych domów i miast, są osadami mórz starożytnych, i składają się ze skupień muszli mięczaków, ze szczątków pancerzy, dziwekoców. — Rozpatrzmy się w kredzie pod mikroskopem, a dostrzeżemy że jest zbiorowiskiem muszli ammonitów i szczątków dziurkowców tak drobnych, że sto pięćdziesiąt tych jestestw uszeregowanych obok siebie i dałoby dopiero długość jednego milimetra.

Jak widzimy hipoteza wytworzenia się osadów kredowych, opartą jest na faktach niezaprzeczonych, dodajemy, że zjawisko to powtarza się i za dni naszych. — Łożysko morza Bałtyckiego podwyższa się ciągle w skutek wytworu skał, powstających z pancerzy jestestw mikroskopowych — przyjdzie też prawdopodobnie dzień w którym wyłonią się z niego lądy. Roślinność rozkrzewi się tam gdzie rozlewały się wody. — Flora z epoki kredowej jest jakby ogniwem łączącym ją z roślinnością nam współczesną. Występują w niej palmy, drzewa dwuliścienne rozradzają się liczniej. — Obok paproci i cykasów będących na schyłku swego rozwoju, ukazują się olchy, graby, klony, orzechy, typy dobrze nam znane. Nie możemy powiedzieć tego o rzeszach zwierzęcych. — Workowate ustąpiły, nie pozostawiając po sobie żadnych następców godnie reprezentujących ssaki. Nie

napotykały ani dydelfów ani zamij jurasowych — ziemia należy jedynie do płazów przerywających sykiem milczenie lasów i dolin, a płazy te zbliżają się więcej do naszych jaszczurek niż do krokodyłów. — Nogi ich dłuższe, zwierzęta też owe już nie pełzają, lecz biegną. Jaszczurki to jednak olbrzymie, długość ich przechodzi 66 stóp polskich! Dziś niewinne, były wówczas żarłocznymi i straszliwymi potworami. Jaszczur morski zwany *Mososaurus*, odgrywał rolę bójniczą rolę *Ichthyosaura* jurasowego utworu. Rabusie wodnych topieli *Plesiosaurus* i *Teleosaurus*, ustąpiły mu miejsca, ryby też i skorupiaki znalazły w tym olbrzymie nowego, niemniej groźnego wroga. Z pomiędzy licznych ryb tej epoki wymieniamy, szczupaka łososia, rybojeża, (diodon), które to gatunki zbliżały się do dziś istniejących. Nieprzyjacielem ich były niemniej straszliwe rekiny przejawiające się już w końcu epoki oolitycznej. Morze przepelnianem było polipami, niedźwiadkami, skorupiakami i mięczakami różniącymi się od gatunków poprzedniej epoki. — Dziurkowce pracowały nieustannie nad wyformowaniem skał kredowych.

O rozwoju życia dość będzie powiedzieć, że liczymy 268 rodzajów zwierząt dziś znikłych i przeszło 5,000 gatunków. — Grubość pokładu kredowego wynosi około 13,500 stóp polskich.

Epokę kredową dzielimy na dwa peryody, a mianowicie utworu *dolnego* i *wierzchniego*.

Pierwszy cechuje się obecnością licznych płazów i niektórych ptaków jak *Palaeornis*, tudzież obfitością zwierzęt kręwych i mięczaków.

W 1832 roku wykryto w lesie kopalnym Tilgate jaszczurę drzewnego opatrzonego kirysem, zwanego *Hyleosaurus*, który przedstawiał długość 27 stóp polskich, jak z jego szczątków wnosić można. *Megalosaurus* właściwy dolnym warstwowi jurasu, utrzymuje się jeszcze w tej epoce. — Był to potwór jaszczurkowy 50 stóp długi, na krótkich, przysadzistych nogach, żył na lądzie. — Zęby jego dowodzą, że należał do zwierząt mięsożernych, pożerał żółwie i krokodyle mniejsze, do czego posługiwały mu przedziwne zęby spełniające połączone funkcje noża i piły.

Olbrzym ten jednak ustępować musiał kolosalnemu legwanowi jaszczurkowatemu, opatrzonemu rogiem na nosie. Długość tego potwora dochodziła 54—55 stóp. — Kość jego udowa była grubszą od podobnej kości u największego słonia. Zęby tego olbrzymiego legwana mieściły się w głębi podniebienia i służyły mu do wykopywania roślin jakimi się żywił. — Z licznych gatunków ryb morskich wymieniamy: *Beryx Lewesiensis*, *Osmeroides Mantellii*, *Odontaspis*. W peryodzie wierzchniego kredowego utworu rozrastała się wielce bogata roślinność — świat zwierzęcy przedstawiał się niemniej wspaniale dowodzi tego mnóstwo okazów kopalnych jakie posiadamy.

Za pana tej ziemi pocztywać trzeba *Mososaura* zwanego też *wielkim zwierzęciem z Maestrichtu* — w kopalniach bowiem należących do tego miasta wykryto głowę tego jaszczura wodnego. W 1780 r. okaz ten wzbudził żywą uwagę uczonych. Jedni upatrywali w nim głowę krokodyla, inni wieloryba — Adryan

Camper pierwszy wskazał do jakiego rzędu zwierzęcego zaliczanym być winien ów potwór formacji kredowej.

Długość głowy *Mososaura* dochodziła 27 stóp polskich, szerokość paszczy dosięgała 3 1/2 stóp! — Żadne zwierzę wodne z dotąd znanych nie przedstawiało tak kolosalnych wymiarów.

Florę morską z epoki kredowej stanowią głównie: *Zielenice* (*Conferva*); *Chondyty* i *gronorosty* (*sargassum*).

Zielenica tworzyła włókna proste, rozgałęzione, poplątane. — Chondyty przedstawiały tkankę gęstą wodorostów, gronorosty zaś, dziś tak obfite w morzach zwrotnikowych, pokrywały całe powierzchnie wód owoczesnych.

Europa przedstawiała po osadach wytworzonych przez morza kredowe, widok całkiem zmieniony. — W miejscowości gdzie dziś istnieje Francya, wydzwignął się z wód półwysep wyformowany z Bretonii, Niższej Normandy, Wandei i z prowincyi Maine, łączony za pośrednictwem Poitou z płaskowzgórzem środkowym, rozciągającym się od Cewenów do Ardenów i dotykającym Wogezów. — Flandryę, Pikardję, Szampanję, okolice Paryża, Wyższą Normandyę, zalewało morze równie jak południe Francyi. — Jurasowy płat ziemi łączył Francję z Anglią. W skutek zalewu tego przesmyka ziemi, w czasie późniejszym Anglia odosobniła się od Francyi.

W królestwie polskim utwór kredowy zajmuje wielce rozległe przestrzenie od południa i wschodu. Składa się z piaskowców łupkowych, i zielonych z margli niebieskawych — tudzież z wapieni białoszarych lub czerwonych.

Przechodzimy do okresu zwanego *Trzeciorzędowym*, cechującym się wystąpieniem na arenie życia wielkiej klasy zwierząt ssących.

W okresie przechodnim panowały skorupiaki i ryby — w drugorzędowym świecie należała do płazów — w trzeciorzędowym główną rolę odgrywać będą ssaki.

Pomijając zwierzęta workowate napotykanne już w jurasie, pierwsze zwierzęta ssące należały do rzędu gruboskórnych. — Belemnity, Ammonity, Hippuryty zniknęły z powierzchni kuli ziemskiej na zawsze — natomiast rozrodziły się w mnóstwie dziurkowce (*Foraminifera*) i nummulty. — Flora trzeciorzędowa zbliża się do naszej — w lasach jej ożywionych śpiewem ptastwa, drzewa przedstawiają pewne podobieństwo do dzisiejszych brzoź i dębów. — Atmosfera oczyszczona z wylęgów pary wodnej, sprzyja doskonalszemu rozkwitowi życia. — W skutek powiększenia się grubości skorupy ziemskiej, wpływ ciepła wewnętrznego naszej planety nie daje się już uczuwać — słońce ogrzewając ją w nierównym stopniu, sprawia odznaczanie się wyraźniejsze klimatów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch*.

OD WYDAWCY.

Dla prenumeratorów pisma „Bluszczy” z dodatkiem dzieł *J. I. Kraszewskiego*, dołącza się do numeru dzisiejszego, tom LVI ogólnego zbioru, to jest tom 3-ci powieści pod tytułem:

„BUDNIK”

Powieści *J. I. Kraszewskiego* wychodzą tomami, a mianowicie 5 — 6 tomów kwartalnie. — Prenumerata wynosi dla prenumerujących *Bluszczy*, kwartalnie Rs 1 kop. 75; — dla nieprenumerujących *Bluszczy* Rs. 2 kop. 50.

Wydawnictwo to rozpoczęło się z dniem 1 października 1871 r. — Wyszło dotąd tomów pięćdziesiąt sześć.

TREŚĆ: *Niewiasta polska*, przez K. Wł. Wójcickiego. — *Glauk*, (poezya). — *Zarnica*, (dalszy ciąg), powieść bułgarska społeczna, przez Teod. Tom. Jeża. — *Przegląd teatralny*, przez Edwarda Lubowskiego. — *Ruch muzyczny*, (dokończenie), przez Jana Kleczyńskiego. — *Korespondencya zagraniczna*. — *Z wiedzy przyrodniczej*, (dalszy ciąg), przez Wincen. Niewiadomskiego.